

Udzielał właśnie wywiadu dla lokalnej gazety, którego młody przedstawiciel nie doczekał się w tłumie reporterów, czyhających na niego z milionem pytań w Ministerstwie Finansów i dopadł go, gdy poseł wchodził na parking. Chcąc nie chcąc zmuszony był ze sztucznym spokojem odpowiedzieć na kilka pytań, które oczywiście od trzech dni wszyscy dziennikarze i reporterzy zadawali mu nieustannie do znudzenia. Jednak z opresji wyrwał go dźwięk jego komórki.

— Przepraszam. To ważne... — rzucił do reportera i odszedł kilka kroków od niego. — Lesławski...

— Cześć, Gabryś — usłyszał w komórce. — Tu Karol!

— Witam Cię.

— Słuchaj... miałbyś chwilę czasu około godziny czternastej dla starego przyjaciela?

— Oczywiście, że miałbym — odpowiedział Lesławski.

— Właśnie dzwonił do mnie premier i mówił, że chce się z nami spotkać... znaczy głównie to z tobą, ale ja też będę. Chce ci osobiście pogratulować i zaprasza nas na obiad.

— To bardzo miła wiadomość, Karolu.

— A widzisz? Jest dobrze. Mówiłem ci, że ten Lewicki to mocny trop. Bomba! Kawał dobrej roboty odwalileś, Gabryś...

— Staralem się.

— Jak zwykle skromny... Wpadnę po ciebie do ministerstwa. Bądź gotowy!

— Cześć. — Lesławski schował telefon i ruszył w kierunku ministerstwa, zapominając o przerwanej rozmowie z dziennikarzem.

— Panie pośle... a wywiad? — usłyszał nagle zza pleców.

— Przepraszam, ale nie teraz! Spieszę się na bardzo ważne spotkanie — rzucił na odchodne, bez pożegnania.

Pół godziny później pędził ulicami stolicy do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, czarną rządową limuzyną przyslaną specjalnie na tę okazję. Siedział wygodnie obok ministra finansów, Karola Polita. Tuż przed godziną czternastą weszli do budynku kancelarii i wolnym krokiem skierowali się do gabinetu premiera.

— Witam panów! — lakonicznie odrzekł na powitanie niski jegomość o lekko szpakowatych włosach i rubasznym uśmiechu, wstając zza biurka i zapinając marynarkę. — Bardzo się cieszę, że przyjęli panowie moje zaproszenie.

— Cała przyjemność po naszej stronie, panie premierze — odparł Polit. — Przeprowadziłem naszego cichego bohatera...

— Bez przesady! — Lesławski starał się być skromny.

— Śledził pan ostatnie sondaże? — spytał premier Lesławskiego. — Już tylko cztery procent dzieli nas od opozycji. To niezły wynik, zważywszy na ostatnie przepychanki na politycznej scenie, w które opozycja skrzętnie i zbyt łatwo wplątuje naszych posłów.

— Tak, uważam, że niektórzy posłowie zbyt pochopnie rzucają się w bitewny ferwor wymiany poglądów z naszymi przeciwnikami.

— Słuszna uwaga — zgodził się premier, marszcząc brwi. — Dlatego, chcąc myśleć o kontynuowaniu naszej misji, musimy już dziś zacząć wybiegać w przyszłość, panowie.

— Stąd nasze spotkanie...? — rzucił pytająco Polit.

— Tak, stąd nasze spotkanie... — powtórzył premier, zamyślając się na chwilę. — Mianowicie... panie Gabrielu... jeśli mogę tak do pana mówić... — kontynuował po chwili.

— Ależ oczywiście!

— Przede wszystkim chciałbym panu pogratulować ostatnich sukcesów. Sam zacząłem się już zastanawiać nad sensem działania tej komisji z tym, pozał się Boże, przewodniczącym na czele. Ale ostatnia prosta, dzięki panu, stała się ciekawa, satysfakcjonująca i zarazem optymistyczna dla nas.

— Dziękuję, panie premierze.

— Profesor Lewicki to dobry i rozważny człowiek. Miałem okazję z nim niejednokrotnie rozmawiać, ale polityka to nie miejsce dla takich ludzi. Trzeba być twardym i charakternym człowiekiem, żeby nie dać się zwieść kuszącym okazjom — tu premier skinął na Karola Polita.

— A Lewicki się skusił... i wpadł — dokończył tamten z szerokim uśmiechem.

— Tak, w sprawie wyszły kolejne niepodważalne dowody, które jednoznacznie wskazywały na to, że Lewicki i kilka osób z jego otoczenia brało pieniądze od prywatnych ubezpieczycieli, którzy startowali później w przetargach — wtrącił swoje Lesławski.

— Tak, tak... — przerwał premier. — Znam to w pewnym tylko zarysie od obecnego tu pańskiego szefa, jednak nie o tym chciałem z panem rozmawiać. Jak już wspomniałem musimy zacząć myśleć o przyszłości. Dzisiejszy sejm w takim

składzie długo już nie pociągnie. Jest jak dogorywająca zwierzyna, którą kawałek po kawałku rozszarpują psy myśliwskie z Władysławem Kasperkiem na czele. Afera za aferą, nagrania, podsłuchy, paraliżowanie obrad sejmu... To już farsa, którą społeczeństwo jest zmęczone. Trzeba ją zakończyć. Ale należy to zrobić w odpowiednim momencie i z klasą. Tak, aby zaprocentowało to dla nas na przyszłość.

— Do czego pan zmierza? — zapytał Lesławski nieśmiało.

— Ta wygrana sprawa to niewątpliwie duży punkt dla nas, co znajduje odzwierciedlenie w sondażach, bo jesteśmy na drugim miejscu z niewielką tylko stratą, więc nie powinniśmy bać się przyszłorocznych, wiosennych wyborów — zaczął minister finansów. — Musimy jeszcze tylko umocnić naszą pozycję i mam tutaj na myśli przeforsowanie naszej ustawy...

— Myśli pan o ustawie o finansach publicznych? — spytał Lesławski, patrząc wprost na prezesa rady ministrów.

— Tak, odgadł pan trafnie — odparł szczerze zapytany. — Wiem od ministra Polita, że prace nad projektem tej ustawy, którymi pan kieruje są już dalece zaawansowane. Sam miałem okazję przyjrzeć się jej ostatniemu projektowi i opierając się na poglądach pana przyjaciela myślę, że jest gotowa na to, by pójść pod głosowanie.

— Czy nie jest na to zbyt wcześnie? — zapytał Lesławski zatroskanym głosem.

— Bardzo zależy nam na czasie, ponieważ chcemy ustawę o finansach publicznych wprowadzić jeszcze przed zakończeniem obecnej kadencji sejmu. Zna pan proces legislacyjny<sup>1</sup> i wie pan przecież, że projekt trafi najpierw do sejmu, gdzie zostanie zaprezentowany na forum. Dopiero później skieruje się go do komisji sejmowej, gdzie odbędzie się pierwsze czytanie. Tam nie mamy większych problemów, a eksperci zostaną dobrani tak, by zbyt długo dokument nie czekał w boksie startowym. Problem widzę dopiero podczas drugiego i trzeciego czytania. Obliczyliśmy, że potrzebujemy po naszej stronie około dwudziestu posłów z innych ugrupowań, aby zachować większość, przy założeniu, że na sali pojawi się około osiemdziesięciu procent posłów. W ten sposób zapewnimy swobodną drogę naszej ustawie do senatu i ostatecznie na biurko prezydenta. Pana zadanie w tej sprawie polegać miałyoby na znalezieniu tej brakującej dwudziestki...

---

<sup>1</sup> Proces legislacyjny — sposób uchwalania ustawy do momentu publikacji w Dzienniku Ustaw (przyj. autora).

— Czyli musimy się zabezpieczyć na przyszłość? — dopytywał Lesławski z uśmiechem pod nosem.

— To pan się musi zabezpieczyć na przyszłość! — zawtórował mu premier.

— Ja? — zdziwił się Gabriel. — Przepraszam, ale nie rozumiem...

— Tak ty... jako przyszły minister finansów! — szybko rzucił Polit.

Lesławski przerzucał swój pytający wzrok to na Karola Polita, to na premiera.

— A co z obecnym tu ministrem finansów? — zapytał po chwili podejrzliwie.

— Spokojnie, panie Gabrielu... Mamy już upatrzone miejsce dla pana Polita — odparł premier łagodnym głosem, chrząkając po chwili w zaciśniętą pięść. — W przyszłym rządzie nie mogę pozwolić sobie na takie błędy jak obecnie i potrzebuję zaufanych ludzi na ważnych dla kraju stanowiskach. Takich ludzi jak pan czy minister Polit... oddanych, ofiarnych, patriotów... Muszę zadbać o nich już teraz, aby płynnie i dynamicznie ruszyć od początku. Jak pan się zapatruje na taką współpracę?

— Propozycja zdaje się być z tych **n i e d o o d r z u c e n i a** — odparł lekko zmieszany Lesławski.

— Komisja śledcza i przegłosowana ustawa o finansach publicznych to dwa asy w naszej talii kart w pokerowych wyborach — zaczął premier po chwili milczenia. — Te trafiły do nas z rozdania, a kolejne dwa są do zebrania w grze od przeciwników. Takiej szansy to grzech nie wykorzystać! Nie wykorzystać takiej szansy — to grzech!

— Na dodatek nasze asy to pik i kier! — dodał z uśmiechem Polit, rozsiadając się w wygodnym, skórzanym fotelu.

— Tak, a na obu widnieje pański wizerunek, panie Gabrielu — dorzucił premier, przybierając poważną minę i ukrywając swój naturalny, rubaszny uśmiezek, który niejednokrotnie był obiektem drwin satyryków politycznych. Lesławskiemu zrobiło się ciepło, dlatego poluźnił krawat, podszedł do okna i zastanawiał się przez chwilę. Odwrócił się w kierunku rozmówców i powiedział:

— Myślę, że dziesiątkę, może nawet dwunastkę posłów znajdę dość szybko. Niezrzeszeni chętnie opowiedzą się za nami, a mam też kilku znajomych w innych ugrupowaniach. Pozostałych trzeba będzie dobrać z opozycyjnych partii...

— Cieszę się, że się rozumiemy. Ma pan oczywiście pełne poparcie z mojej strony — premier podszedł i uścisnął dłoń Lesławskiego. — Najcenniejszym głosem zaoferujemy przejście do naszego ugrupowania, a pozostali... no cóż... jak to

powiedział pewien pisarz: „Polityka to sztuka podejmowania błędnych decyzji”<sup>2</sup> — podsumował.

— No, to skoro już się porozumieliśmy w tej sprawie, to uczcijmy to koniakiem — wtrącił, stojący już przy barku Karol Polit i nalał w kieliszki płynu barwy ciemnomiodowej. — Za przyszły rząd! — zaskandował, podając trunek towarzyszom.

— Za rząd! — zawtórowali premier i Lesławski, podając sobie we trójkę dłonie.

\*

Z rozmyślań wyrwał go dźwięk dzwonka jego prywatnej komórki. Odłożył więc gazetę, wyjął telefon z wewnętrznej kieszeni marynarki i spojrzał na wyświetlacz. „Joasia dzwoni” — widniał napis. Joanna od czternastu lat była żoną Lesławskiego. Małżeństwo należało do udanych, chociaż Gabriel, ze względu na pracę i związaną z nią znaczną odległość, nie miał dla rodziny zbyt wiele czasu. Starał się jednak wynagrodzić to z nawiązką w każdej wolnej chwili, a budowa wymarzonego domu miała być tego priorytetowym punktem. Odebrał telefon, a po kilkuminutowej rozmowie pożegnał małżonkę. Zjadł ciasto, dopił kawę i ruszył w kierunku sali posiedzeń, ponieważ zbliżała się już godzina wznowienia obrad. Powoli wspinał się po schodach, podpierając się na poręczy i dysząc. W takich chwilach nadwaga mocno dawała mu się we znaki. Po kilku minutach zasapany w końcu dotarł na górę i wszedł na zapelniającą się już salę. Umęczony opadł na swoim miejscu w półokrągłych rządach ciemnozielonych foteli i odetchnął z ulgą.

Teraz po jego głowie biegał jedynie głos żony. Ze względu na finał sprawy ubezpieczyciela, nie był w domu od dwóch tygodni i chyba zaczynał tęsknić. Był piątek po południu i teoretycznie jeszcze dwadzieścia cztery godziny dzieliły go od powrotu do Gdańska. „A jakby tak się urwać dzień wcześniej — dobiegła go myśl. — W końcu nie tylko przez te dwa tygodnie harowałem jak wół, więc coś mi się od życia należy. — Rozejrzał się po sali i stwierdził, że dość spora część posłów chyba myślała podobnie. — Pustki jak diabli, tylko ta liberalna partia chrześcijańska jak zwykle prawie w komplecie. Pewnie znowu szykują jakieś bzdurne wnioski i będą przeciągać obrady byleby tylko zrobiło się o nich głośno w mediach”. Każda okazja

---

<sup>2</sup> Andrzej Majewski — polski aforysta, pisarz, publicysta, felietonista, artysta fotografik, scenarzysta i reżyser (przyp. autora).

do przypomnienia o sobie wyborcom w jakże gorącym okresie dogorywania obecnego rządu była dobra. Na samą myśl jeszcze bardziej odechciało mu się tu siedzieć. Spojrzał na zegarek, rozejrzał się jeszcze raz po sali. Po prawej stronie, kilka rzędów przed sobą zobaczył ministra finansów, Karola Polita. Podniósł się więc i podreptał do niego .

— Karol? — stuknął kolegę w ramię. — Masz minutkę?

— Jasne — odparł tamten. — O co chodzi, Gabryś?

— Wiesz, od dwóch tygodni nie byłem w domu. Ciągłe tylko praca i praca. Zerwałbym się do domu, co? Odpocząłbym, zregenerował umysł... W poniedziałek rano będę jak nowy.

— Jasne, Gabryś! Nie ma problemu. Zresztą do końca i tak nie będzie nic konkretnego w porządku obrad. A jeśli nie ty, to kto inny zasłużył na odpoczynek? — dodał minister, spoglądając na pustki na sali sejmowej. Jedź śmiało. O której masz pociąg?

— O 19:05 mam Intercity ze Wschodniego...

— Hmm... — Polit spojrział na zegarek. — Jest za piętnaście...

— Wezmę taksówkę... Zdażę...

— Nie, czekaj! Mam lepszy pomysł — przerwał minister. — Pod sejmem czeka na mnie mój kierowca, on cię podrzuci. Zbieraj się, a ja szybko zadzwonię do niego. W końcu musisz zacząć się przyzwyczajać do rządowych maszyn, no nie? — mrugnął okiem z wyrazem zadowolenia.

Lesławski odwzajemnił uśmiech, ucisnął dłoń Politowi i szybkim ruszył krokiem do wyjścia.

— Pozdrów Joasię! — krzyknął jeszcze za nim Polit.

— Dzięki! — Lesławski odwrócił się na chwilę i pomachał ręką na pożegnanie.

Gdy zbliżał się do drzwi sali posiedzeń, w tym samym momencie pojawił się w nich mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat, ubrany w idealnie skrojony garnitur, otoczony switą podobnie odzianych osób. Biel jego koszuli wyraźnie kontrastowała z brązem opalenizny i purpurą krawatu, który był najbardziej charakterystycznym elementem jego partii. Oczywiście, zaraz po nim samym. Był to Władysław Kasperek, przewodniczący opozycyjnej partii, który od czasów komisji śledczej szczerze nienawidził Lesławskiego.

— Ooo... widzę, że pan sekretarz już wychodzi — zagadnął ironicznie. — A my tu jeszcze dzisiaj ważne głosowania mamy do przeprowadzenia...

— Chyba błaznowania — odciął się Lesławski krótko, po czym dodał: — To głosujcie, głosujcie, panie przewodniczący. Ja mam jeszcze kilka spraw do załatwienia, ale myślę, że zdążę obejrzeć finał... — klepnął Władysława Kasperka w ramię, przecisnął się obok stojących w wejściu mniej ważnych posłów i ruszył w stronę szatni. Kasperek spoglądał jeszcze przez chwilę na jego oddalające się plecy i szepnął złowrogo pod nosem:

— Jeszcze coś na ciebie znajdę, skurczybyku.

Zejście ze schodów zajęło Lesławskiemu znacznie mniej czasu niż wejście. Po kilkudziesięciu sekundach już był przy szatni, skąd odebrał swój płaszcz, ciemny kapelusz i ruszył do wyjścia. Skinął strażnikowi na pożegnanie jak czynił to zwyczajowo i wyszedł na zewnątrz. Momentalnie uderzyła w niego fala przenikliwego chłodu. Był koniec października, a już od kilku godzin padał rześisty deszcz. Miasto spowiła kurtyna ciemności, rozświetlona ulicznymi latarniami, światłami okien, witrynami sklepów i reklam ulicznych. Zszedł po schodach na ulicę, gdy w tym właśnie momencie zatrzymała się tuż przed nim czarna, rządowa limuzyna. Zza kierownicy wyskoczył zwinnie postawny pracownik biura ochrony rządu i otworzył tylne drzwi, zapraszając go do środka.

— Dziękuję — rzekł Lesławski i grzecznie wsiadł do limuzyny.

Z dużą prędkością włączyli się do ruchu. Pomknęli przez główne ulice stolicy w kierunku dworca kolejowego, by o punkt dziewiętnastej zatrzymać się przed wejściem do holu głównego dworca kolejowego. Lesławski pospiesznie wyskoczył z auta, krzycząc tylko: „Dzięki! Do widzenia!” i ruszył co sił w nogach na peron. Po chwili wchodził już do pustego przedziału, wyczerpany opadłszy na siedzenie. Kilka minut zajęło mu wyrównanie oddechu. Zza przemoczonych szyb zobaczył jak do pociągu zbliża się konduktor, gwizdże na znak odjazdu i wskakuje do wagonu. Pociąg ruszył, zostawiając dość zaludniony, jak na tę porę dnia, dworzec. Lesławski zdjął płaszcz i usadowił się przy drzwiach. W przeciwieństwie do większości podróżnych nie lubił siadać przy oknie. Zrobiło się przyjemnie ciepło, wyjął z walizki gazetę, którą czytał w kawiarni. Kilku młodych ludzi przeszło korytarzem, nie dając mu się skupić, więc przysłonił oszkloną ściankę materiałową firanką. Usiedli chyba w przedziale obok, bo zrobiło się tam głośniejsze od śmiechów i rozmów.

Gdy skończył czytać stronę, poczuł, że musi iść do łazienki. Wstał, rozejrzył się po przedziale, odłożył gazetę i zabrał ze sobą czarną, skórzaną walizkę, z którą bardzo rzadko się rozstawał. Wyszedł z przedziału i ruszył w stronę WC, złapał za

klamkę drzwi toalety. „Na szczęście wolne — pomyślał, wszedł do środka i zamknął się od wewnątrz na zamek. — Hmm, nawet elegancko” — zażartował w myślach, znając stan łazienek w pociągach. Gdy już skończył, opłukał ręce i otworzył drzwi. Momentalnie już drugi raz dzisiaj uderzyła w niego fala przenikliwego zimna, a także ogromny huk. Spojrzał w kierunku odgłosu i zobaczył, że drzwi wejściowe wagonu są otwarte na oścież.

— Przysięgłbym, że były zamknięte jak szedłem w tę stronę! — mruknął pod nosem ze zdziwienia.

Położył na podłodze walizkę, przytrzymał się jedną ręką za poręcz i już chciał złapać za klamkę, by zamknąć drzwi, gdy usłyszał za sobą czyjś głos.

— Przepraszam?

Odwrócił się wystraszony i w tym samym momencie poczuł silne kopnięcie w brzuch, które niewątpliwie wyrzuciłoby go z pociągu, gdyby nie trzymał się nadal poręczy.

— Co jest kur...? — wykrzyknął przestraszony.

Jedną ręką kurczowo trzymał się poręczy i tylko jedną nogą stał stabilnie na schodkach wagonu. Niesamowity pęd wiatru przy tej prędkości pociągu oraz strach nie pozwalały mu złapać oddechu. Serce waliło mu jak młot. Dopiero po kilku sekundach zrozumiał, co się dzieje. Chciał spojrzeć w kierunku wejścia, lecz nagle poczuł drugie uderzenie w okolicy klatki piersiowej. Kolejny cios spowodował, że wypadły mu okulary, a noga ześliznęła mu się ze schodka, po czym z impetem uderzył piszczelem w twardy metal. Przeszył go ostry ból, a kopnięcie spowodowało, że zakrztusił się, nie mogąc złapać oddechu. Jednak instynkt przetrwania kazał mu nadal kurczowo resztkami sił trzymać się poręczy, a drugą ręką po omacku starał się wyczuć cokolwiek, czego mógłby się złapać. Było mu przeraźliwie zimno, a jedyne co wyczuwał to idealna, śmiertelnie chłodna gładkość blach wagonu.

— Rr...yyyh... yyhhm... Rahun... — próbował krzyknąć, lecz w tym momencie napastnik z całą siłą zadał kolejny cios prosto w palce splecione na poręczy.

W jednej chwili Lesławski usłyszał chrzęst łamiących się palców i poczuł brak jakiegokolwiek przyczepności z wagonem. Stęknął jeszcze z przerażenia i runął do tyłu, porwany przez pęd jadącego pociągu. Jego stukilogramowe ciało z głuchym i tępym odgłosem uderzyło o ziemię, naszpikowaną betonowymi balami i osadzonymi na nich szynami. Siła uderzenia była tak duża, że przeकोziołkował jeszcze kilka metrów, zanim znieruchomiał. Jedyne, co usłyszał to trzask łamiących się kości



i szum wiatru zmieszany z odgłosem toczenia się metalowych kół pociągu po szynach.

## II.

Pokój otaczał półmrok. Przez przysłonięte lekko żaluzjami okno wlewał się do środka blask świecących się latarni. Noc zaczynała przechodzić w szary, zimny i niezwykle mokry poranek. Drobny deszcz padał z niewielkimi przerwami już od kilkunastu godzin. Pokój był mały i zwykły, jakich tysiące w wieżowcach i blokowiskach warszawskiej Pragi. Przy ścianie stała nieco zniszczona meblościanka z przystawionym obok stolikiem pod telewizor, a na środku ława, na której stała niedopita butelka po wódce i dwie puste po piwie. Po przeciwnej stronie pokoju stało łóżko z szafką nocną i z dwoma fotelami rozstawionymi na rogach ławy. Na łóżku spał mężczyzna w średnim wieku, niemiłosiernie chrapiąc.

W ten oto sielankowy obrazek wdarł się nagle głośny dźwięk telefonu komórkowego. Mężczyzna momentalnie poderwał się, trącając ramieniem w ławę, z której strącił na podłogę głośno brzęcząca butelki.

— Słucham? — rzucił zaspanym głosem.

— Janusz? — zapytał dla pewności głos w słuchawce.

— Taaaak... — odparł mężczyzna, przeciągając się.

— Tu Nowak... z Agencji... — przedstawił się rozmówca. — Dzwoniłem na twój domowy numer, ale nikt nie odbierał.

— Mówiłem przecież, że sprzedajemy dom i że już tam nie mieszkam... A tak w ogóle, to wie pan, która godzina, panie pułkowniku?

— Wiem, Januszu, wiem dokładnie, bo sam już nie śpię od dwóch godzin.

— Pan wybaczy, panie pułkowniku, ale z tego typu problemem chyba nie dzwoni pan do mnie jako do specjalisty?

— Daj spokój, Januszu, nie mam nastroju do żartów! — skwitował Nowak. — Wydzwaniają do mnie z MSW i z Komendy Głównej Policji, że znaleziono zwłoki przy torach niedaleko Warszawy...

— Zwłoki to chyba robota dla policji, nie? — wtrącił Piekarski. — Niech wezwą tych ze stołecznej...

— Już tam są. Problem w tym, że to zwłoki posła... eee... Lesławskiego... zdaje się.

— Tego Lesławskiego...? — zapytał ze zdziwieniem Piekarski. — Tego od komisji sejmowej?

— Tak, tego... — potwierdził pułkownik Nowak. — Znalazł je maszynista gdzieś na północ od Nowego Dworu Mazowieckiego.

— Co się stało?

— Nie wiadomo. Morderstwo albo samobójstwo. Ponoć ciężko go było zidentyfikować, tak był poturbowany. Jak się dowiedzą dziennikarze, to zaraz będzie ich tam pełno i niczego się nie dowiemy. Dzwonił do mnie minister spraw wewnętrznych i kazał mi tam kogoś wysłać...

— O nie, Ryszard! — rzucił nagle ożywiony i całkowicie ocucony już Piekarski. — Mnie w to nie mieszaj... Wiesz dobrze, że za trzy tygodnie idę w odставку. Miałem spokojnie przetrzymać do końca. Przecież sam mnie wysłałeś wczoraj na urlop. Nie da rady, stary, słyszysz? Nie da rady! Poza tym... może nie ma mnie tu, jestem gdzieś daleko od Warszawy.

— A gdzie ty niby miałbyś być Janusz, co? — uśmiechnął się głos w słuchawce.

— Nad morzem, na ten przykład — wymyślił na poczekaniu Piekarski, na co w odpowiedzi usłyszał serdeczny i głośny śmiech rozmówcy.

— Nie świruj, chłopie — rzucił pułkownik, w momencie, gdy się nieco opanował. — Wysłałem wczoraj chłopaków na szkolenie do Wrocławia. Nie będę przecież ścigał kogoś stamtąd. Wiem, że masz urlop i naprawdę nie chcę zabierać ci czasu, ale nie mam wyjścia. Chcę tylko, żebyś tam pojechał, rozejrzał się i dowiedział, co i jak. Może to akurat samobójstwo i zanim się sprawa zaczęła, to się zakończy .

— Tak, masz rację, dla mnie zanim się rozpoczęła , to się już skończyła — podkreślił z naciskiem ironicznie Piekarski, wstając z łóżka i podchodząc do okna. Odślonił żaluzje i spojrział przez okno. — W taką pogodę na pewno będzie to jakieś gówno... — mruknął głośno do siebie niezadowolony.

— Co mówiłeś? — Nowak nie dosłyszał.

— Nic — uciął Piekarski. — W poniedziałek mam sprawę rozwodową. Nie byłem już dwa razy i jeśli teraz też nawalę, to odbędzie się beze mnie, a jej adwokat oskubie mnie ze wszystkiego, co mi jeszcze pozostało.

— Eee tam... do poniedziałku zdążysz bez najmniejszego problemu. Mówię ci, że to jest krótka sprawa. Podeślę ci kogoś z ośrodka szkolenia, żeby cię podwiózł. Rozejrzyj się, dowiedz czegoś, zadzwoń i wracaj. OK.?

— Nie... — sapnął Piekarski.

— Oj, Janek, ale ty uparty jesteś jak jakiś osioł czy inny tam wół. Nie pozostawiasz mi wyboru — zaczął pułkownik Nowak. — Wydaję ci rozkaz!

Głos w słuchawce wyłączył się, a Piekarski stał chwilę, wpatrując się w spływające krople deszczu po szybie. „Zawsze coś” — pomyślał, a głośno wycedził wściekle przez zęby, zaciskając pięści i dając upust emocjom:

— Zawsze, kurwa, coś!

Podszedł do stołu, spojrzął na przewrócone butelki po piwie i niedokończoną flaszkę wódki. Nie był alkoholikiem, raczej typem z twardym charakterem, czego wymagała szkoła Agencji, dlatego tym bardziej nie piłby z powodu rozwodu. Wczoraj jednak, przechodząc na zasłużony urlop, postanowił to uczcić. Zadzwoił po długim czasie milczenia do brata, ale ten był zbyt zajęty, żeby mu towarzyszyć, dlatego postanowił nie marnować okazji i dobrego nastroju, który ostatnio rzadko mu się zdarzał. Nikt bezboleśnie w końcu nie przeżywa rozwodu, tym bardziej, że dowiaduje się o tym przez telefon. Złapał puste butelki i zaniósł je do kuchni. Napił się zimnej wody z kranu i przeszedł do łazienki.

Kwadrans później był już ubrany i gotowy do wyjścia, podszedł do drzwi balkonowych i wyrztał przez okno. Na parking przed blokiem właśnie zajechała czarna Octavia. Rozpoznał służbowy samochód.

— Hm... Młody się nie ociąga — mruknął pod nosem i ruszył do wyjścia.

Gdy wyszedł na klatkę schodową, z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął paczkę Goldenów i zapalił jednego. Zamknął mieszkanie i ruszył w stronę wyjścia. Spotkali się przy samochodzie.

— Dzień dobry, panie chorąży — prawie zsalutował młody kierowca.

Piekarski spojrzął na niego zimno i wyrzucił resztkę papierosa zgrabnym pstryknięciem gdzieś w bok. Mężczyzna miał nieco ponad dwadzieścia lat, króciutko przyszczyżone włosy zdradzały ich jasny kolor i drobne zakola. Ubrany był w czarną, skórzaną kurtkę i niebieskie dżinsy.

— Nie taki znów dobry, Młody, wcale nie taki dobry... — odpowiedział i wygodnie usadowił się z przodu na siedzeniu pasażera, ocierając z twarzy krople

deszczu. — Ja na urlopie, a tu leje jak jasna cholera, a do tego wyciągają mnie z ciepłego łóżka, a ty mi tu mówisz, że dobry?

— Deszcz jak deszcz, nic na to nie poradzimy. — młodzieniec wzruszył ramionami.

— Janusz — rzekł Piekarski, mierząc go wnikliwym spojrzeniem, które po kilku latach pracy w Agencji wchodziło w nawyk i stawało się już odruchem.

— Sebastian — odparł Młody, a kąciki ust lekko drgnęły ku górze, sugerując delikatny grymas uśmiechu.

— No dobra, jedźmy zobaczyć, co tam się stało i szybko wracajmy — rzucił Piekarski i pokrętlęm zmienił stację w radiu. Powoli wyjechali z parkingu w kierunku północnym.

— Możesz mi powiedzieć jak się w to wkręciłeś? — zapytał po dłuższej chwili milczenia Piekarski, któremu nudził się migający, kamienny krajobraz deszczowej, zaspanej Warszawy.

— W ten wyjazd czy w Agencję Bezpieczeństwa? — skonkretyzował Sebastian, nie spuszczając wzroku z drogi.

Padający deszcz znacznie utrudniał warunki jazdy, a wycieraczki ustawione na średnią szybkość nadały zbierać wodę z szyby. Poza tym, chcąc szybko zdążyć na miejsce, wciskał gaz troszkę bardziej niż zobowiązywały go do tego przepisy.

— W sumie... i w to, i w to — odpowiedział Piekarski.

— Pochodzę z wojskowej rodziny... — zaczął Młody swoją opowieść. — Ojciec był kapralem Wojska Polskiego w Elbląskim Pułku Przeciwlotniczym, dlatego z mundurowymi miałem styczność od najmłodszych lat. Może właśnie z tego powodu nie czułem powołania do wojska. Matka zmarła dość wcześnie, ale zawsze chciała, żebym ukończył studia, czego ojciec starannie dopilnował. Po studiach politechnicznych rok, zupełnie bez sensu, przepracowałem w kilku miejscach. Później zdecydowałem się na Agencję...

— A w to dzisiejsze bagno? — dociekał Piekarski.

— Dużo chłopaków wyjechało na weekend do domu. Miałem do wyboru, ten wyjazd albo siedzenie w dyżurce, więc uznałem to za dużo ciekawsze...

— Interesujący wyjazd w interesującą pogodę... — skomentował Piekarski, patrząc w tonący w strugach deszczu świat za szybą.

Gdy minęli Nowy Dwór Mazowiecki, kilka kilometrów dalej samochód zwolnił, skręcił w prawo w boczną drogę i przejechał około pięciu kilometrów. W okolicy wsi

Bronisławka tory kolejowe zbliżały się na odległość około trzydziestu metrów do szosy. Przejechali jeszcze niecałe pół kilometra i, mijając tabliczkę: „Stanisławowo 2 km”, zobaczyli pierwszy radiowóz. Zjechali w polną drogę, którą wskazał im aspirant drogówki w odblaskowym trykocie. Zza przierzędzających się krzaków widać było jeszcze dwa kolejne radiowozy i nieco dalej skapaną w gąszczu traw karetkę pogotowia. Obok radiowozów stał bordowy volkswagen Jetta, koło którego się zatrzymali.

Deszcz, jakby na życzenie, trochę osłabł i z całkowicie zachmurzonego nieba spadały już tylko pojedyncze krople. Obaj mężczyźni wysiedli równocześnie z Octavii i ruszyli w kierunku idącego w ich stronę, niezłe już przemoczonego, człowieka. Był wzrostu Piekarskiego i miał trochę ponad trzydzieści lat. Ciemny, kilkudniowy zarost na policzkach, dodawał mu powagi, a ciemnozielone, głęboko osadzone oczy sprawiały wrażenie zaspanych. Ubrany był w brązowe spodnie i wełniany sweter w kratkę oraz czarną, policyjną kurtkę. Wyglądało na to, że też wyciągnęli go tu prosto z łóżka.

— Komisarz Kamil Kozerski, Komenda Stołeczna Policji — wyciągnął dłoń na powitanie .

— Agencja Bezpieczeństwa, Janusz Piekarski i... — tu chorąży się zawahał.

— Sebastian Zuchowicz — Młody szybko wyciągnął rękę.

Piekarski rzadko przedstawiał się „stopniem”, częściej używał samego nazwiska, czym niejednokrotnie łatwiej nawiązywał kontakty ze współpracownikami. Jego zdaniem wszystko, co pomagało w dobrym wykonaniu pracy było słuszne. A i był typem człowieka spokojnego, skromnego, który nie lubił zbyt afiszować się wyróżnieniami.

— Dostałem telefon z góry, że będziecie, więc czekaliśmy na was. Prokurator właśnie odjechał, a lekarz jest w karetce — zaraportował komisarz Kozerski, wskazując jednocześnie pojazd ręką. — Chodźcie za mną!

Ruszyli przez wydeptaną wśród wysokiej trawy i zielska dróżkę. Równoległe ślady opon biegły tym samym szlakiem i kończyły się przy karetce. Przeszli pod taśmą i podeszli do zapakowanych w czarny worek zwłok.

— Zanim dostaliśmy telefon, że jedziecie, chłopaki już go zapakowali — komisarz przykucnął nad workiem i rozchylił zamek. — Poznacie? — zapytał z zaciekawieniem.

— Jakbyśmy nie poznawali, to by nas tu nie było — sapnął Piekarski, kucając nad czarnym workiem.

— Gabriel Kazimierz Lesławski, syn Anatola i Marii, urodzony... — Kozerski zaczął recytować z notesu .

— Samobójstwo czy morderstwo? — wtrącił Piekarski.

— Jeszcze nie wiemy. Znalazł go maszynista pociągu towarowego około godziny 2:30. Zwłoki leżały tuż obok torów. Chociaż są konkretnie połamane, to wykluczamy rzucenie się pod jadący pociąg. Denat jest, że tak się wyrażę „cały”, a po spotkaniu z pociągiem, to pewnie do tego czasu byśmy go kompletowali.

— Czyli wyleciał z pociągu... — nieśmiało stwierdził Młody .

— Pytanie: sam czy ktoś mu pomógł? — rzucił Piekarski, zapalając papierosa.

— Chodźcie, pokażę wam, gdzie leżał — zaproponował komisarz, wstając od worka i ruszając przed siebie. Wszyscy podeszli bliżej torów, kamienie usypane między betonowymi balami były w dalszym ciągu, pomimo padającego deszczu, zabarwione zaschniętą krwią.

— Tutaj leżał... — rzekł Kozerski. — Głową skierowany w stronę tych krzaków, a na tych kamieniach były nogi. Leżał na brzuchu. Jeden but w odległości około pół metra od zwłok. Ubrany tylko w garnitur, w kieszeniach portfel z dokumentami, pieniądze oraz telefon komórkowy. Nic nie zginęło. Telefon uszkodzony prawdopodobnie podczas upadku.

— O której nastąpił zgon? — zapytał Piekarski.

— Lekarz stwierdził zgon między 20:30 a 21:30, wczoraj wieczorem. Dokładną przyczynę i czas śmierci wykaże dopiero sekcja, ale pokaże wam coś jeszcze... Zwłoki skierowane były w tamtą stronę... — komisarz wskazał na północ i udał się we wskazanym kierunku. — Dlatego instynktownie ruszyłem kilkadziesiąt metrów w tamtym kierunku. Padający deszcz przeszkadzał nam bardzo w czynnościach, ale znalazłem te ślady. — Tu wskazał na kilka zagłębień w równomiernie rozłożonych kamieniach między dwoma pasami torów. Na niektórych kamieniach widoczne były ślady krwi. — Wziąłem je do analizy, ale na sto procent to jego krew.

— Czyli wszystko wskazuje na to, że faktycznie wyleciał z pociągu — rzekł Piekarski, spoglądając na Młodego.

— Tak. Myślę, że to tutaj upadł. Przekoziółkował przez tory i wylądował przy tamtych zaroślach.

— Czyli, co? Pociąg musiał jechać w kierunku północnym, tak? — rzucił Sebastian Zuchowicz.

— Lesławski mieszkał pod Gdańskiem, więc najprawdopodobniej jechał z Warszawy do domu — głośno myślał Piekarski.

— Też tak pomyślałem, dlatego wysłałem jednego policjanta na PKP w Nowym Dworze Mazowieckim, żeby sprawdził godziny przejeżdżających tutaj pociągów w kierunku Gdańska. Czekam ciągle na telefon.

— Macie spisane zeznania człowieka, który go znalazł?

— Tak.

— Spojrzę jeszcze raz na ciało — powiedział Piekarski i ruszył w kierunku zwłok.

Za nim poszedł komisarz i w tym momencie odezwał się jego telefon.

— Kozerski! No... Tak... Aha... dobra rozumiem, przyślij mi to esemesem... Dzięki. Wracaj do Warszawy. No... Na razie.

— Mamy ten pociąg — zwrócił się entuzjastycznie Kozerski do klęczącego nad zwłokami Piekarskiego.

— Doprawdy?

— Dzwonił mój człowiek, którego wysłałem do Nowego Dworu. Sprawdził pociągi jadące z Warszawy do Gdańska i znalazł tylko dwa: pierwszy Intercity o 19:05 i drugi pospieszny około północy.

— Drugi z dwóch względów odpada — głośno pomyślał Piekarski. — Według ustaleń o północy Lesławski już dawno nie żył, a będąc ważnym od kilku tygodni posłem, którym by się pan udał do domu, komisarzu?

— Intercity — rzucił Kozerski z uśmiechem. — Intercity, który idealnie pasuje do całej sytuacji. Wyjechał o 18:50 z Centralnej, a na Wschodniej był o 19:05. Na pewno wsiadł na którejś z tych stacji! — czytał z komórki komisarz.

— Czyli tak między 19:30 a 19:50 przejeżdżał tędy — rzucił Piekarski. — Ale dlaczego znaleźli go dopiero przed 3:00?

— Ciemno i deszcz. Jeśli coś tędy jechało, to na pewno zapieprzało, ile mocy w silnikach i nikt się nie rozglądał. Nasz maszynista ciągnął trzydzieści wagonów wyładowanych po brzegi ładunkiem, więc toczył się dużo wolniej, to go zauważył — skwitował komisarz.

— Dobra, trzeba przepytąć obsługę i konduktorów tego Intercity czy coś widzieli? Czy jechał sam, czy z kimś, czy ktoś z nim rozmawiał, no i trzeba ustalić, gdzie są jego pozostałe rzeczy?

— To znaczy? — spytał komisarz konkretnie.

— No chyba nie wybierałby się pan w podróż do domu w samym garniturze i bez bagażu. Tym bardziej pod koniec października — rzucił Piekarski, kiedy znowu odezwała się komórka komisarza.

— Kozerski... Tak... Tak, panie komendancie... Są... niemożliwe... już jedziemy... — komisarz rzucał półsłówkami.

— Co jest? — zapytał Młody, gdy Kozerski ze zdziwieniem na twarzy zakończył rozmowę.

— W tym Intercity znaleźli płaszcz Lesławskiego... w środku był list pożegnalny...

— Samobój... — westchnął z niepoohamowaną ulgą Piekarski.

Właśnie uciekła mu sprzed oczu perspektywa długiego i mozolnego śledztwa, które prawdopodobnie pułkownik Nowak zrzuciłby na niego, pomimo zasłużonego urlopu.

— Gdańsk już nam faksuje kopię tego listu — wyrwał go z rozmyślań komisarz. — Chcecie go zobaczyć?

— Dobra, jedźmy! — rzucił Piekarski i ruszył za komisarzem w stronę samochodów. Za nimi podążał Młody.

— Chłopaki, pakujcie ciało i wracamy do Warszawy — rzucił na odchodne komisarz w stronę kilku błąkających się policjantów i pracowników karetki.

Janusz Piekarski z Zuchowiczem wsiedli do samochodu i ruszyli za Kozerskim w kierunku Warszawy.